

CHIRO

Całe życie wojuję... czyli opowieść o niezwykłym życiu mojej babci – Zofii Chirowskiej z domu Olejników

Na początku babcia bardzo nieśmiało spogląda w moją stronę.

- Słuchaj, babciu, jest taki konkurs... Chciałbym, żebyś opowiedziała mi historię swojego życia i bardzo pragnę to opisać ku pamięci. To coś takiego jak spisanie twojego pamiętnika.

Babcia początkowo nie podchodzi do pomysłu entuzjastycznie.

„To nic ciekawego...”, „Nie chcę za dużo mówić...”, „A wiesz, to były takie trudne czasy...”

Odpuszcza., Rozumiem, nie każdy chce zagłębiać się w swoją przeszłość. Jednak po pewnym czasie temat niespodziewanie powraca. Babcia decyduje się opowiedzieć mi o swoim życiu, trudnej przeszłości i pięknym dzieciństwie.

A wszystko zaczyna się tak...

Nazywam się Zofia Chirowska, z domu Olejników. Urodziłam się 10 grudnia 1939 roku, więc trzy miesiące po wybuchu II wojny światowej. Moim miejscem urodzenia jest wieś Poroda w województwie wołyńskim, w miejscu, gdzie Ukraińcy mordowali całe rodziny i palili doszczętnie wsie. Wychowywałam się w wielodzietnej rodzinie, byłam piąta z rodzeństwa. Najpierw urodziła się siostra Halina, następnie Józef, później Marianna, Czesława, a po mnie na świat przyszła Teresa. Nietrudno zauważyć, że w naszej rodzinie dominowały kobiety. Mój tato był murarzem, naprawdę nie było rzeczy, której nie potrafiłby zrobić, dla mnie jako dla małej dziewczynki, był prawdziwym wzorem. Samodzielnie wybudował nasz dom, a także stajnie i stodoły. Był to jednak dom nie byle jaki! Ojciec budował nowocześnie jak na tamte czasy, czego znakiem był dach kryty blachą, a nie słomą. Tato mój marzył nawet o zakupie dworku, miał przed wojną odłożone na ten cel cztery tysiące złotych w banku. Jednak marzenia te (jak i wiele, wiele innych...) po wybuchu wojny obróciły się w pył. Gdy mama poszła do banku po pieniądze, okazało się, że nie mamy już nic.

Moja kochana mama – kobieta bohaterka, o czym zaraz opowiem, jak to wtedy bywało, swoje życie poświęciła na wychowanie nas i zajmowanie się domem. Oprócz tego musiała ciężko pracować w gospodarstwie, oporządzała krowy, owce, konie, robiła na krosnach prześcieradła

z Inu, a wszystko ręcznie. Rodzice radzili sobie bardzo dobrze, żyliśmy szczęśliwie i w zgodzie. W domu rodzinnym wybudowanym rękami mojego taty spędziliśmy pięć naprawdę dobrych lat. Przyszły jednak czasy bardzo trudne, o których niełatwo jest dzisiaj mówić, głos się łamie. Wspomnienie... Nasz dom, miejsce szczególne, szczęśliwe, rodzinne, został spalony przez Ukraińców.

Oczy babci szklą się. Wiem że to, co zaraz mi opowie, będzie dla niej powrotem do czasów, do których wracać się nie chce nawet myślami. Po chwili przerwy babcia Zosia kontynuuje swoją historię.

W czasach wojny, gdy Ukraińcy zaczęli mordować polskie rodziny, od lutego do lipca w domu nie spaliliśmy wcale, należało czuwać, ponieważ oni przychodzili z nienacka, najczęściej nocami. Wspominam czasy, kiedy byli naszymi dobrymi sąsiadami, pomagaliśmy sobie, dzieliliśmy się chlebem, ciastem, panowała wspólnota. Nie tak jak to bywa teraz, na przykład na tych wielkich blokowiskach. Nie było anonimowości. Jednak niestety stało się tak, że sąsiad wystąpił przeciw sąsiadowi. Chcieli mieć tutaj swoją Ukrainę i zaczęli w brutalny sposób mordować Polaków, swoich najbliższych sąsiadów. Mieszkałam wtedy w mojej rodzinnej wsi Poroda i pamiętam doskonale, jak wieś sąsiadująca z naszą, została doszczętnie spalona, mieszkańcom nie udało się uciec. To były miesiące nieustannego strachu, który towarzyszył nam każdego dnia. Pamiętam taki moment, byłam bardzo mała i wyjątkowo mocno chciało mi się spać. W środku nocy mama ubierała mnie i rodzeństwo. Z niewyspania padałam na łóżko, jednak trzeba było natychmiast opuścić dom. Przyszedł brat mojego ojca i wołał, że trzeba uciekać już w tej chwili, nie ma czasu na zastanawianie się. Mężczyźni trzymali wartę, ostrzegali nas, że wróg się zbliża. Musieliśmy wychodzić oknem, drzwiami już nie mogliśmy, ponieważ Ukraińcy byli zbyt blisko. Pamiętam, że odbierał nas z rąk mamy wujek, starsze rodzeństwo wyskakiwało samo. Chowałam się w kopcu usypanym z liści, mama dokładnie mnie przykrywała. Nie można było się ruszyć, ani drgnąć, strach było nawet odetchnąć.

Rodzeństwo uciekało, gdzie mogło. Codziennie istniało namacalne ryzyko śmierci. Teraz we wsi, w której mieszkałam, nie zostało już nic... same stawy i drzewa.

- Mówiłaś wcześniej, że twoja mama była prawdziwą bohaterką. Jestem bardzo ciekawy historii z nią związanej.

Nazywam mamę bohaterką i jestem pewna, że w pełni zasługuje na ten tytuł. Moja mama była naprawdę dobrą gospodynią, piekła wspaniałe, duże chleby z niezwykle chrupiącą

skórką. Pod lasem mój tato zbudował piec, w którym można było wypiekać bochenki. W lesie tym mieszkali Żydzi, którzy uciekli z miejsca, gdzie mieli zostać zamordowani przez Niemców, zrobili sobie szałas na drzewie. Dlaczego tak wysoko? Otóż istniało ryzyko zaatakowania i pożarcia przez wilki. Żydzi ci przychodzili po chleb pieczony przez moją mamę, która naprawdę bardzo się bała i dużo ryzykowała. Oprócz darowania ludziom chleba, ofiarowywała im także w samodzielnie szytych torbach kartofle w mundurkach, masło. Pamiętam, że o przybyciu Żydów informował głośnym szczekaniem pies Dudzio. Mama narażała tak naprawdę nie tylko siebie, ale i całą rodzinę. Gdyby Niemcy dowiedzieli się o tym, co robiła...Nie chcę nawet teraz o tym myśleć. Wiem z opowiadań mamy, że jeden z Żydów przeżył, założył sklep koszerny w Legnicy na ulicy Chojnowskiej. Przeżył dzięki mojej mamie. Co się stało z innymi? Nie wiem.

- Babciu, jak dalej potoczyły się twoje losy?

Zamyśla się na chwilę, po czym kontynuuje swoją historię cichym, spokojnym głosem.

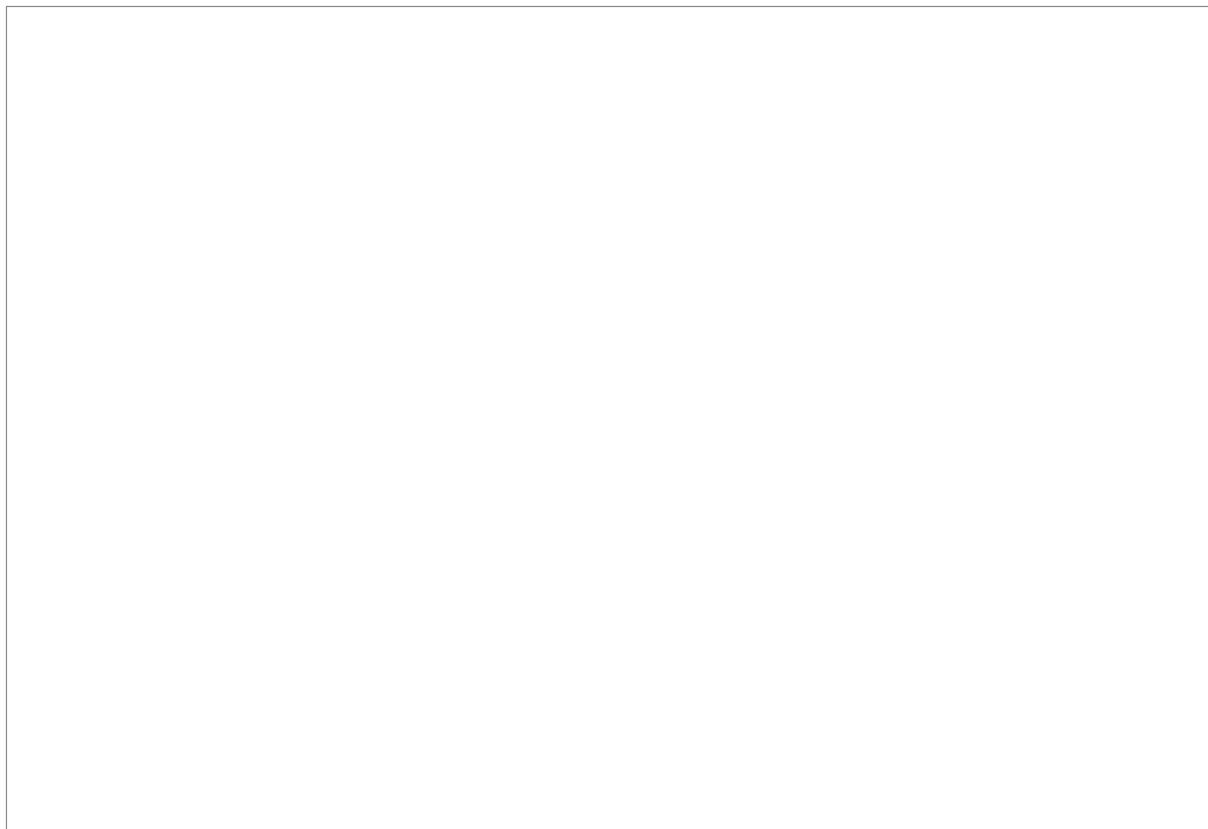
Pamiętam, że gdy pojawili się Niemcy, Ukraińcy okazali się bardzo sprytni. Ubierali niemieckie mundury, żeby uważano ich za żołnierzy niemieckich i tym sposobem mordowali dalej. Zabijali nawet Niemców, żeby tylko móc zdobyć ich mundury.

Cała moja rodzina postanowiła wyjechać do Niemiec. Mieliśmy taką możliwość, ale tam nie było nam łatwo. Mama opowiadała mi, że w tamtych czasach trudno było o pracę, więc wymyśliła pewien plan „pożyczki”. Wybłągała swoją siostrę Sabine, która później pojechała do Ameryki, żeby pożyczyła jej swoje dzieci, dwóch synów. Mama wzięła więc najstarszą siostrę Halinę, brata Józka i dwoje dzieci siostry i poszła stanąć w okienku, żeby móc zdobyć jakieś zajęcie. Dopiero tym sposobem, po sprawdzeniu, że dzieci nadają się do pracy, zostali zakwalifikowani. W innym przypadku, jeśli trafilibyśmy do grupy osób niezdatnych do pracy, groziło nam spalenie w krematoryjnych piecach.

Praca w Niemczech była bardzo trudna, niejednokrotnie ludziom towarzyszyły wszy, pluskwy. Kiedy do Niemiec wkroczyli Amerykanie wspierali nas, dawali nam prawdziwe czekolady, takie twarde i bardzo dobre, później także paczki żywnościowe. Ojciec mój należał do Kompanii Wartowniczej, szwagier był w wojsku amerykańskim. Mieliśmy trochę wsparcia. Jak przyjechaliśmy w 1947 roku na Psie Pole, dwa miesiące czekaliśmy aż się znajdzie wolny dom.

- Babciu, jak wyglądało twoje życie, gdy zamieszkaliście w Miłogostowicach?

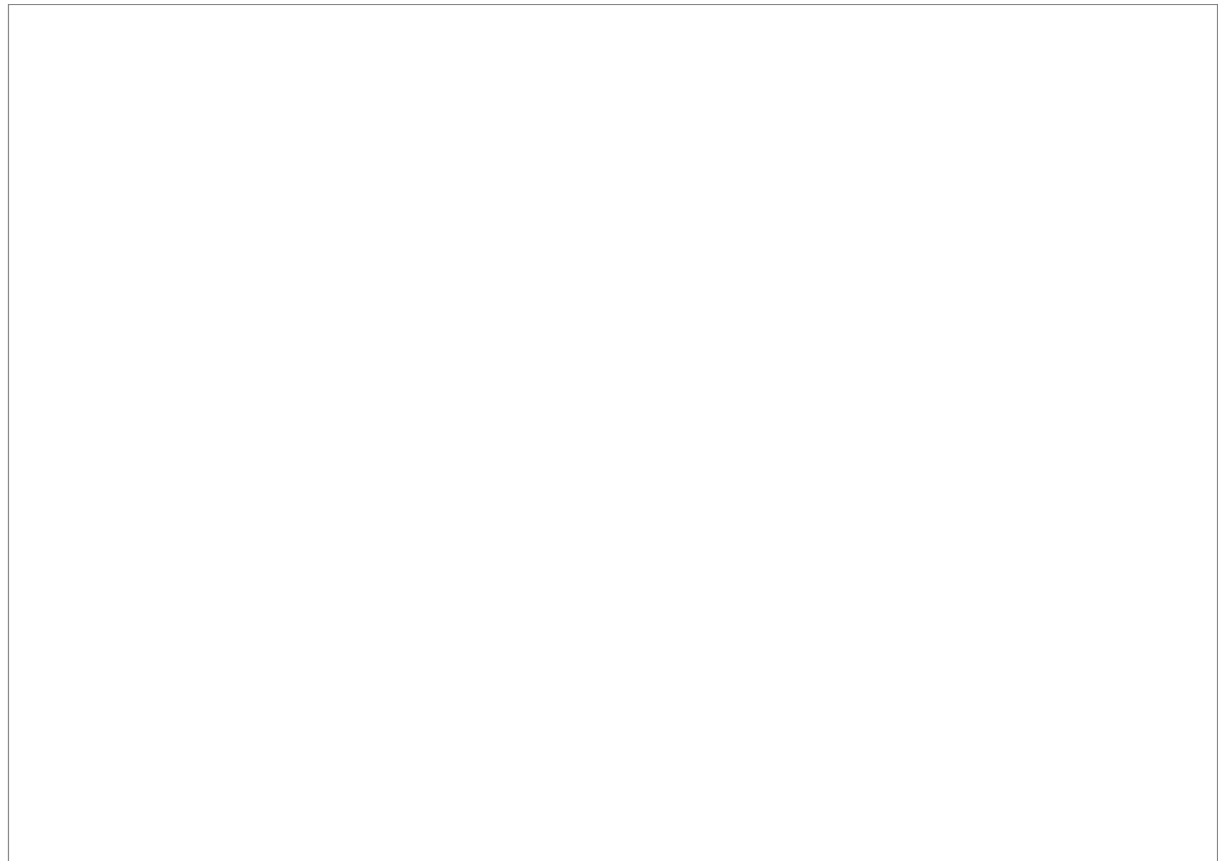
Miłogostowice były ładną wsią, można by powiedzieć, że takim kurortem dla Niemców. Miło wspominam czasy szkolne. Najpierw chodziłam do Szkoły Podstawowej w Miłogostowicach, do klas I-IV, następnie do klas starszych w Bieniowicach. Do szkoły nie jeździło się autobusem, chodziliśmy pieszo, a droga była tak wyjeżdżona, że w zasadzie był to sam piach, niesamowicie się kurzyło. Miałam tyle szczęścia, że tato kupił mi rower damkę i w ten sposób mogłam łatwiej i szybciej dostać się do szkoły. Po pewnym czasie jeździła ze mną koleżanka, ale nie na bagażniku, mój rower takowego nie posiadał. Siadała ona po prostu na siodełku, a ja na jej kolanach i w ten dziwny sposób podróżowałyśmy. Nie było to komfortowe dla żadnej z nas, ale żał mi było, że musi pokonywać całą trasę na piechotę. Nie raz bywało tak, że wywalałyśmy się w piach i całe brudne przychodziłyśmy na lekcje. Ale najtrudniej było zimą. Kiedyś zimy były o wiele mroźniejsze, a śnieg sięgał kolan, mróz aż skrzypiał, ale do szkoły przecież trzeba było iść. Przychodziło się do sali przemokniętym, zmarzniętym, z mokrymi stopami. Klasę VII rozpoczęłam w Szkole Podstawowej w Rzeszotarach, jednak nie udało mi się jej ukończyć. Sama jeździłam do szkoły rowerem, a stacjonowało w tamtych okolicach wielu Rosjan, były koszary, bałam się bardzo, ponieważ gwizdali na mnie, zaczepiali, coś krzyczeli. Aż skóra cierpła, wiedziałam przecież, do czego są zdolni. Strach po prostu mnie paraliżował, nie byłam w stanie dojeżdżać więcej do tej szkoły.



Zdjęcie z pierwszej Komunii świętej

Później przeprowadziłam się do Legnicy i zamieszkałam na ulicy Jaworzyńskiej u siostry, która była zamężna, miała troje dzieci, ale nikt już nie żyje z mojej rodziny. W Legnicy skończyłam klasę VII i na tym etapie zakończyłam również moją edukację. Podjęłam pracę w *Dziwiarzu*, byłam szwaczką. Pamiętam, że bardzo chciałam iść do pracy i mieć swoje pieniądze. Ponieważ byłam niepełnoletnia, miałam 17 lat, dowód osobisty załatwiony został przez szwagra. Bardzo trudno było o pracę, wszyscy chcieli wtedy mieszkać i pracować w mieście. Pracowałyśmy z siostrą na zmiany, podział obowiązków w domu był równy. Pilnowałam jej dzieci, jak ona była w zakładzie, a później ja wychodziłam do pracy.

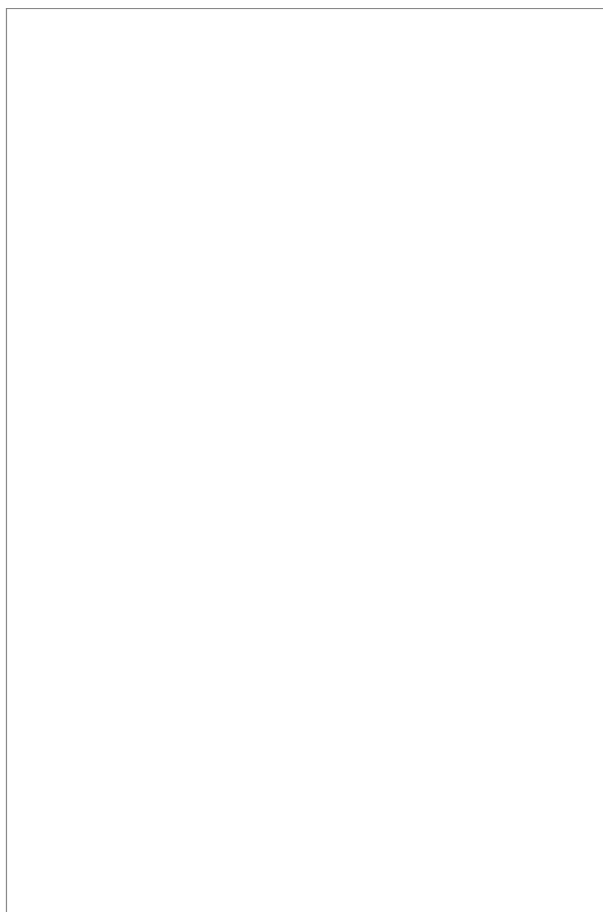
Czasy mieszkania z siostrą skończyły się jednak i wyjechałam z Legnicy, ponieważ ojciec dostał wylewu, był sparaliżowany i mama dała znać, żebym wróciła do domu, nie dawała sobie rady z gospodarką. Wróciłam do Miłogostowic, do PGR. Tam pracowałam przy zaprawianiu zboża, była to praca bardzo męcząca, w okropnym, duszącym kurzu. Zarobiłam jedynie 360 złotych przez całą zimę, a kiedy pracowałam przy nakładaniu gnoju, otrzymywałam złotówkę od tony. Później już na szczęście tato był zdrowszy i powiedział do mnie pewnego dnia: *Zocha, dołóż mi pieniądze na owies, bo mi brakuje...* Pamiętam, że tak bardzo chciałam kupić sobie płaszcz wiosenny, były to przecież bardzo ciężko zarobione pieniądze, jednak cóż... trzeba było pomóc rodzicom, nie wzięłam nawet innej możliwości pod uwagę. Gdy zamieszkałam w Miłogostowicach, dorabiałam również pasąc krowy, w międzyczasie zrywałam lipę, suszyliśmy ją i była ona sprzedawana, żeby móc cokolwiek kupić. Ale nie był to jedyny sposób na zarobek. Pamiętam, że przy PGR-owskich drogach rosły jabłonie, wieczorami z koleżanką zrywałyśmy z nich jabłka i przekazywałyśmy do winiarni w Legnicy, która znajdowała się na ulicy Krętej. Później rodzice zlikwidowali gospodarstwo w Miłogostowicach, sprzedali za bardzo okazyną cenę. Ojciec dostał pracę w Legnicy. Był stróżem, z tego co pamiętam, po wylewie nie mógł mieć mocno wymagającej pracy. Rodzice później przyjechali do Szczytnik nad Kaczawą do siostry, żeby jej pomagać. Później znów pojechali do Legnicy, bo mamie zrobiła się przepuklina, więc musiała przejść poważną operację. Jednak zaraz po niej stanowczo za wcześnie poszła na pole pomóc córce zbierać ogórki, żeby cokolwiek zarobić. W Pątnowie była przetwórnia, masowo uprawiano ogórki i kapustę.



Cieężka praca w polu

- Babciu, a jak się potoczyło Twoje życie rodzinne? Poznałaś dziadka i co było dalej? Czy to były dla ciebie lepsze czasy?

Mieszkam tutaj już 64 lata. Miałam 20 lat jak wyszłam za mąż, dokładnie w 1960 roku, a w 1961 urodził się nasz syn Adam. Miałam mieć piękne wesele, z druhnami, ale nie udało się, chociaż w tamtych czasach było to moje małe marzenie. Ślub odbył się w katedrze w Legnicy, ponieważ w tamtym czasie byłam cały czas zameldowana u siostry. Skromne przyjęcie weselne odbywało się u siostry w Szczytnikach nad Kaczawą.



Zdjęcie ze ślubu

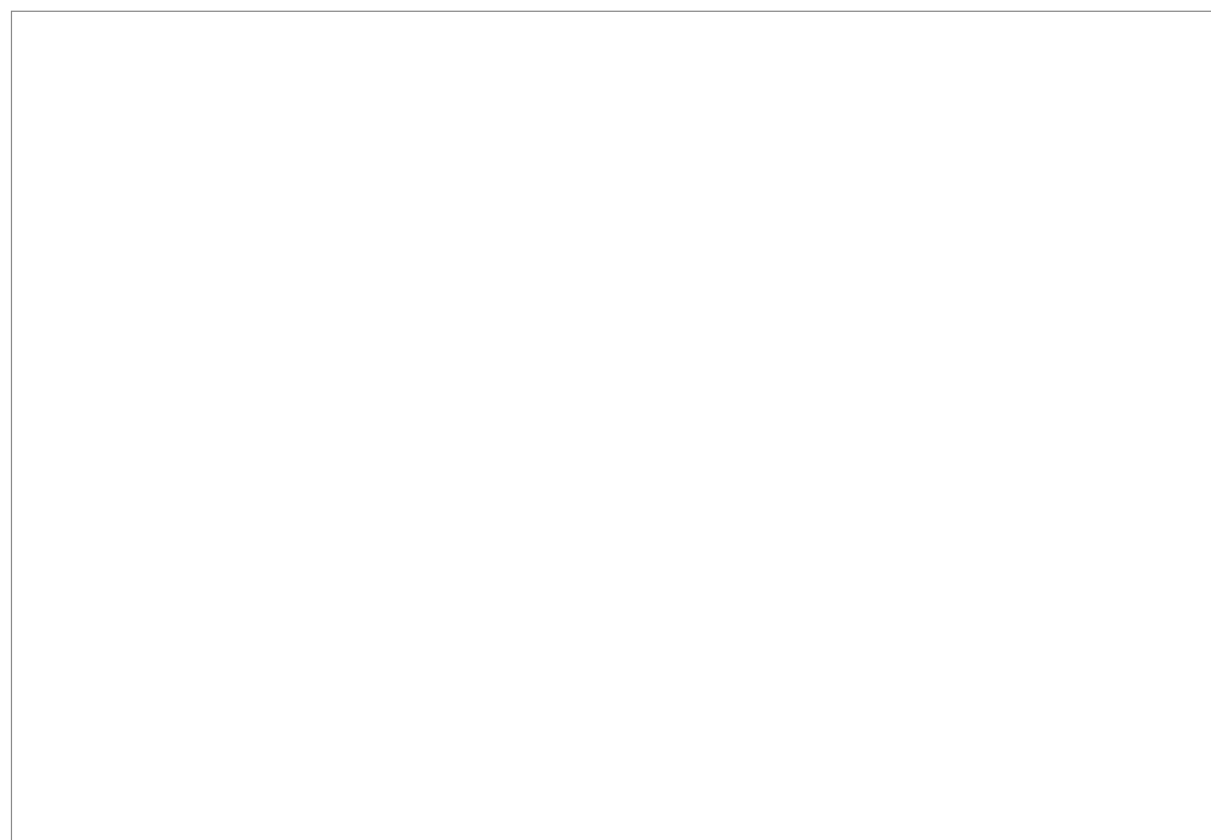
Po ślubie zamieszkałam z teściową, która bardzo chorowała na nogi, chodziła przy krześle, nie mogła inaczej postawić kroku. Później położyła się i osiem miesięcy leżała, miała w kuchni białe, żelazne łóżko. Opiekowałam się nią. Nie było wtedy pampersów, musiałam z poszew robić pieluchy, wszystko sama prac. Teściowa bardzo cierpiała z powodu niedowładu nóg, jej krew źle krążyła. Ja w tym czasie chorowałam na rwę kulszową, a teściową trzeba było podnosić. Zaraz potem uderzyła mnie wiadomość o chorobie męża, zachorował na raka krtani. Teściowa opuściła ziemski padół w 1980 roku, a mąż siedem lat później. Nie miałam lekkiego życia... Nie byłam wesoła, radosna. Może jedynie wtedy, gdy byłam dziewczyną. Moje najszcześniejsze chwile są związane z momentami dzieciństwa spędzonymi w Miłogostowicach. Los nie był dla mnie łaskawy. Młodość to był najlepszy czas...

- Czy pamiętasz jakieś tradycje z okresu dzieciństwa?

Oczy babci uśmiechają się wesoło.

Doskonale pamiętam wigilie w rodzinnym domu w Miłogostowicach, to były prawdziwe, wielkie rodzinne spotkania, zdarzało się, że przy stole siedziały dwadzieścia cztery osoby

dorośle i dzieci. Szwagier owijał w pierzynę małe dzieciaki i pakował je na wóz, a następnie podjeżdżał i śpiewali kolędy pod oknem. Jedliśmy pyszne pierogi, śledzie. Teraz spożywa się pokarmy również przed wigilią, kiedyś obowiązywał ścisły post do wieczora, dopiero wtedy się jadło, wszystko tak bardzo smakowało. Choinkę ubierało się dopiero w dzień wieczery. Pamiętam to dobrze, jak o pustym żołądku czekało się na kolację i czuło się zapach pyszności przyrządzanych w kuchni. Zapach ciasta drożdżowego roznosił się po całym domu, pachniała kapusta z grzybami. Niczego się nie kupowało, wszystkie potrawy były przygotowywane własnoręcznie, zresztą w sklepach i tak nic nie było. A w święta wielkanocne w Miłogostowicach obowiązkowo szło się do kościoła. Była to ważna tradycja. Pamiętam jak jednego roku siostra Cześka i brat Józek w jeden dzień się pobierali i były dwa wesela. Wesele w tamtych czasach to nie lada atrakcja i uroczystość. Tato sam zabił cielaka i świnię, robił znakomite wyroby mięsne, było krucho z jedzeniem. Na wesele zaprosił urzędujących wówczas dwóch księży. Na ślub się szło pieszo, były druhny, naprawdę ogromne wydarzenie. Brat grał na harmonii, był samoukiem, miał zespół, a nawet nie znał nut, wcale nie fałszował. Tato natomiast sam zrobił bębny z koziej skóry, moczył je w sodzie, aż sierść odeszła i skóra naciągała się.



Z bliskimi...

Piękne, piękne czasy.

Babcia zamyśliła się, przymknęła powieki. Wiedziałem, że w tym momencie jest zatopiona we własnych myślach i wspomnieniach. Jestem szczęśliwy, że udało mi się poznać historię babci, a tym samym historię mojej rodziny i również moją przeszłość. Losy babci Zosi nie były łatwe, musiała walczyć, bać się o własne życie... Jak sama mówi, wojowała, przeszła niejedno. Niech ten pamiętnik będzie spuścizną jej życia i zachowa się dla potomnych.